

35.787/1903

Cena egzemplarza 20 halerzy.

Nr. 16.



Małpie



Zwierciadło

DWUTYGODNIK SPOŁECZNY I LITERACKI.

Wychodzi we Lwowie 1. i 15. każdego miesiąca.

Lwów, 1. czerwca 1903.

T
R
E
Ś
Ć

Klejnoty Abdery (Manifest *Słowa* pols.).
Głosy teatralne.
(Niebezpieczeństwo — Donnaya).
Moje plotki (kronika dwutygodniowa).
Kto to? (Sylwetki dziennikarzy).
Komik w Holetach, operetka.
Portrety teatralne (W. Antoniewski).
Notatki.
Maniaki (U).
Odpowiedzi wydawcy.

Prenumerata wraz z przesyłką wynosi: kwartalnie 1 kor. 50 h., półrocznie 3 kor.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Piekarska 9.

ЛННБ України ім. В. Стефаника



01632144L

Piwo Pilzneńskie.

Z dniem 16. kwietnia otworzyliśmy
przy ul. **Halickiej 1. 10.**

Restauracye z pokojem do śniadań.

Mając odpowiednią praktykę, nabraliśmy odpowiedniej rutyny, a dziękując **Szanownej Publiczności** za dotychczasowe względy, polecamy się nadal, zapewniając równocześnie uczciwą i sumienną usługę.

Potrawy świeże po najtańszych cenach.

Z poważaniem

Stanisław Jankowski i Michał Hanusz
b. kierownik firmy Baczewskiego.

**Parasolki,
Bluzki,
Halki,
Rękawiczki,
Gorsety,
Welonki,**

poleca najtaniej

Ferdynand Güttler

Lwów,
plac Halicki 1. 3.

**Zakład
dentystyczno-techniczny**

J. Weingartena

w Stanisławowie — Rynek 21.

Sztuczne zęby, szczęki ze złota, kauczuku, korony i roboty mostkowe, wykonuje wedle nowego systemu amarykań. bez sprawienia bólu.

Plomby w sztucznych zębach.

Przerabianie i naprawa szczęk w jak najkrótszym czasie.

P. 8(и) Пол-7 (052)

III
* -35787/1903 ✓

Rok I.

Lwów, dnia 1. czerwca 1903.

Nr. 16.

Małpie Zwierciadło

DWUTYGODNIK SPOŁECZNY I LITERACKI.

Klejnoty Abdery.

Manifest europejskiego organu.

Motto: Błogosławieni ubodzy duchem,
albowiem ich jest królestwo niebieskie.

MY —

.... — nie tyle organ, ile twórca (przynajmniej w naszym błogiem przekonaniu) opinii publicznej — z naszej łaski i woli spadkobiercy skarbcza duchowego wyroczni delfickiej — żywa inkarnacja „44” — atlasowy filar Polski — jedyni, posiadający niezawodny sposób i środki zbawienia i odrodzenia Polski w ogólności, a wyodrębnionej Galicyi w szczególności (2 kor. 50 hal. miesięcznie — dla pp. pocztmistrzów znaczny opust — zresztą ceny w nagłówku wyszczególnione) — Wszech-Bole, bo cierpimy na miliony, wszem wobec i każdemu z osobna z naszych zacnych (o ile płacą prenumeratę) czytelników wiadomo czynimy jako stosując się do tylekrotnie wyrażonego życzenia przestaniemy podawać Wam tak trudno strawną karmę duchową, jak utwory Maeterlincka, Oskara Wilde (tego niemoralnego kryminalisty!!) Nietzschego, Emmersona, Villiers de l'Isle Adama, Hamsuna, Vrchlickiego, Gorkija i innych lokatorów z kąta wieczności — innemi słowy, zwijamy nasz dotychczasowy niedzielny „Tygodnik Słowa Polskiego”, z którego i tak (postaraliśmy się o to) powyprowadzali się: Feldman, Konczyński, Sobolewki, Żuławski, Ortwin, Elmer, Cybulski i inni nasi „dekadenci” — a natomiast odtąd, odpowiadając godnie wyjątkowemu stanowisku, jakie zajmujemy w prasie, — o ile na to pozwolą inne działy, a zwłaszcza tak wiele miejsca z konieczności zajmujący dział wielkiej polityki, jaką prowadzimy — będziemy Was raczyć łatwo strawnymi detektywnymi, arcypomysłami Sherlock-Holmes'a, drukowanymi przed 12 laty w warszawskim „Tygodniku romansów i powieści” p. t. „Małowidło w czerwonym tonie”, — ponętnie, dla Waszego niezem nie popsutego duchowego podniebienia jedynymi, sosikiem fejletonowo-wzmiankarskim zaprawionymi

Львівська національна наукова
бібліотека України
імені В. Стефаника

Львівська бібліотека
АН УРСР
№ 1503256

C. 800845

recenzjami z 7-go zeszytu „Potarganych pęt“ — powieściami tak interesującymi (bo o to tylko w powieści chodzi!) jak: „Fatalny związek“ i ... resztę, której dostarczą kolosy chorążyczynianej literatury, a nasi współpracownicy pp. F. Ch i Z Kł.

Przekonałiśmy się, że nasi czytelnicy nie lubią imponowania im (nawet bezwiednego, mimowolnego) — z drugiej zaś strony niechętnie zajmują się sprawami, wymagającymi choćby nawet lekkiego wysiłku myślenia. MY — stosując się do tego w praktyce — poziomowi myślenia, li tylko dla wygody naszych czytelników nietylko nie staramy się podnosić — ale owszem obniżamy — a wszelkie ulgi z naszej strony w tych wysiłkach zyskują nam coraz szersze koła zwolenników — do nas garną się ludzie, którzy w innych stronnictwach nie znajdują zaspokojenia swych aspiracji obywatelskich i narodowych — (niechętni nam twierdzą, że to wybiórki i bezużyteczne odpadki innych stronnictw, ale jak wiadomo złośliwość i zawiesć ludzka itd... a myśmy wyżej nad itd).

Jesteśmy święcie przekonani, że kultywowany przez nas tak gorliwie „kommercyalny“ kierunek w literaturze spotka się z całym uznaniem, z otwartymi — nie tyle ramionami — ile kieszeniami (byle nie próżnemi!) naszych czytelników.

Wszak utwory literatury powinny służyć tylko, — jako środki do zabicia czasu, ułatwiania drzemki poobiedniej, lub wieczór do poduszki — a więc środki czysto higieniczne, równie dobre, praktyczne i wypróbowane jak pigułki Morri-sona, gumowe artykuły higieniczne Santal du Midi, Maggi, kawa Przewieleb. ks. Kneippa, koszule Jaegera, opaski „Luna“, Suilina Wagnera, Kwizdy Restitutions-Fluid, proszek Haya, Zacherlin!.. reszta w naszych anonsach — a nie — budzić w Was nowe myśli, może broń Boże nielojalne, rewolucyjne.

Wy tacy trzeźwi, praktyczni, zdrowi ciałem nie dacie się wziąć na jakieś tam importowane blagi o kacie wieczności!!

Myśleć — to nie zdrowo — nie higienicznie — spowodować ból głowy — odbiera sen — psuje trawienie — można dostać przekrwienia mózgu — czy to nasi ojcowie myśleli — a i tak Polska... no! prawda!. dyabli ją wzięli., ale jak już na wstępie zaznaczyliśmy MY znamy niezawodny sposób i środki (2 K. 50 h. miesięcznie, dla pp. pocztmistrzów... itd.) a Polska... o! będzie! będzie! z pewnością, tylko pp. Głabiński i Studnicki pójda w górę (nie mamy na myśli żadnych dwuznaczników).

Zresztą od tego MY jesteśmy, abyśmy wyręczali naszych czytelników w myśleniu, bo proszę sobie tylko wyobrazić.. gdyby każdy chciał myśleć, a co gorsze, to co myśli pisać, a co jeszcze gorsze to, co napisze kazać drukować — co wydrukować kazać czytać — a co najgorsze, za to co wymyśli, napisze, da wydrukować, kazać czytać — kazać sobie płacić! — to któżby wstępował w szeregi naszych urzędników autonomicznych i — c. k. manipulacyjnych sił urzędowych, tak

troskliwie kultywowanych przed oddaniem ich do użytku publicznego przez całych 12 lat w specjalnej c. i k. instytucji niemyślenia, — tych kwiatów prowincjonalnej a i stołecznej inteligencji, tych członków tercetów wistowych, tarokowych, preferansowych, tudzież kwartetów i kwintetów ferblowych, labetowych — wszak dla dobra wyodrębnionej ojczyzny wystarczy, gdy w tych działach sztuki wysilają swe myśli spokojne, lojalne, jednak pełne kombinacji i przebiegłe, a nie rewolucyjne, nowatorskie.

Jedynym naszym celem i dążeniem jest, by jak najwięcej z naszych czytelników stało się tego rodzaju podporami społeczeństwa w guście naszym rodzinnym, austriacko-kańczykowski-lojalno-komercyjno-wszechbólo-antirujo-wyrobokrajowo-itakdalejfrasesowo-filisterskim.

Ze sami staramy się o jak najlżejszą strawę umysłową, widzą to czytelnicy:

— spada cegła — jest artykuł pełen oburzenia

— przyleciał, lub zdechl chrząszczyk, jest taki sam pełen radości, lub boleści, którą z całą bezinteresownością dzielimy się z naszymi czytelnikami

— pękła akacja — już czytelnicy dowiadują się o tem za pośrednictwem naszych, obdarzonych olbrzymim zmysłem spostrzegawczym współpracowników

— zagrzało pierwszy raz w tym roku podczas oddawania numeru naszego pisma na prasę — my i tego nie chowamy pod korzec.

Podobnych przykładów moglibyśmy przytoczyć dziesiątki z każdego numeru; sądzymy, że czytelnicy śledzący z całym zainteresowaniem rozwój naszego pisma sami to zapewne spostrzegli, wolimy jednak powodując się wyżej wspomnianą zasadą oszczędzania im wszelkiego wysiłku myślenia — na to zwrócić uwagę.

Tak! — drodzy czytelnicy! — w ten sposób spełniamy święcie nasz obywatelski publicystyczny obowiązek i dokładamy wszelkich starań, aby „żółte muchy“ w rodzaju Przybyszewskiego, Nowaczyńskiego nie składały niebezpiecznych jajek — myśli w Wasze niepokalane myśleniem, dziewicze, nieprzystępne dla wszelkich nowatorstw i nieobjęte zacządzeniem dekadentyzmu — mózdzki, — aby ich czystych, jak biała karta, te żółte muchy — nie popstrzyły!

In hoc signo vincemus — tylko w ten sposób wyodrębnimy się.

Dan w naszym pałacu naftowym — w maju 1903.

— 44 —

..... a ten zapoznany kosmopsycholog utrzymuje, że cała codzienna lwowska prasa jest chorą — ma zamiar zainicjować

nawet składkę na budowę specjalnego szpitala (jest pewnym, że pacjentów nigdy nie zabraknie). — O ile zamiar przyjdzie do skutku zaimponujemy Europie!!! — na razie do wiadomości publicznej postawione przez niego dyagnozy chorób pojedynczych pacjentów.

„Przegląd“: *Induratio epidermis progressiva*.

„Gazeta lwowska“: *Degenaratio nigro-flava*.

„Kurier lwowski“: *Furror plebeicus*.

„Przedświt“: *Hydrocephalus — ulcera ecclesiastico-armenica*.

„Gazeta narodowa“: *Marasmus senilis*.

„Wiek nowy“: *Diarrhoea sensationalis*.

„Dziennik Polski“: *Hydraemia philisterico-obscura*.

„Słowo Polskie“: *Mania omnium dolorum*.

Vitriol.

Glossy teatralne.

„Niebezpieczeństwo“ — Donnaya.

(20) Mylne pojęcie i z gruntu fałszywa interpretacja przyczyniły się ze swej strony niewątpliwie do wzorowego upadku tej nowej z kolei epidemicznych premier sztuki. Zawiniła tu naturalnie w pierwszym rzędzie reżyseria. Od czego ona właściwie jest, jeśli nie od zapobiegania tego rodzaju uchybieniom? Za swój naczelny obowiązek przecie poczytywać winna ujmowanie sztuki w zwarty całokształt, nadawanie jej jednolitego tła i podkładu, sprowadzanie poszczególnych sytuacji do wspólnego mianownika a poszczególnych ról do jednego kamertonu. Skoro się artystom pozostawi wolną rękę, puści ich całkiem luzem i samopas i pozostawi wszystko na łaskę ich samorządnej inwencji, skoro się ich należy nie uświadomić co do zasadniczego tonu i tempa sztuki, w rezultacie rozłączyć się będzie zbiorowa gra do Sasa i do lasa, jak kiepska fastryga, a przedstawienie zamieni się w jakąś prowincjonalną sałamaczę. Trudno przecież od wykonawców wymagać znajomości literatury dramatycznej i żądać od nich zrozumienia autorskich intencji nieraz bardzo utajonych, zwłaszcza, jeśli się ma do czynienia z twórczością efemeryczną, zgoła nie pierwszorzędного znaczenia, jak u Donnaya. Jest to już powinnością i zadaniem reżyserii, która zapewne całkiem przypadkowo i niechcąc zdecydowawszy się niepotrzebnie na zapoznanie naszej publiczności z Donnayem i to od razu z jego stanowczo najgorszym utworem, miała obowiązek wniknąć dokładniej w metodę i manierę jego teatraliki, poinform-

mować o nich wykonawców, aby w ten sposób uniknąć rażących dysproporcji i publiczności wraz z prasą i krytyką w błąd nie wprowadzać.

* * *

W przedstawieniu sztuki Donnaya popełniono zatem już w samym założeniu czy to wskutek opieszałości, czy nieznamomości rzeczy, tę grubą, a w skutkach swych fatalną niezgrabność, że utwór ten wszadzono zbyt mocno na wysokiego konia i starano się za wszelką cenę podnieść jego dyapazon. Wzięto go fałszywie za dramat poważny, dopatrzono się w przesadnej gorliwości dramatycznych konfliktów i kolizji. Pod tym kątem widzenia sztuka grana i rozpatrywana musiała naturalnie wypaść monstrualnie, wywołać nudę i zniechęcenie, zwłaszcza, że idąc za takim zrozumieniem tego utworu, nadano mu tempo ociężałe, powolne i ospałe i zachowano je wiernie w takcie słoniowatym aż do końca. Tymczasem idąc za aluzjami samego autora i za wskazówkami poprzedniej reszty jego twórczości należało utwór jego przetransponować na ton farsy, zejść o kilka szczebli niżej, wziąć o całą skalę dyapazon niższy, a tempo szybsze, swawolniejsze, z większym temperamentem i swobodą. Tęby było rzecz od razu zmienić nie do poznania i uratować sztukę, szczerzątkowo przynajmniej od sromotnej zagłady; trafiłoby zresztą o ile wnosić wolno, w intencje samego autora. Specjalnością Donnaya jest bowiem farbowanie na kolor farsy sztuk, pozornie znamion farsy pozbawionych. Z wrodzonym usposobieniem farsisty przystępuje on do tematów i sytuacji, na pozór zupełnie poważnych. Tem też w błąd wprowadza i w tem zapewne niejaka trudność w należytem odegraniu choćby „Niebezpieczeństwa“. Przypuszczam, że aktorzy z *Comedie française*, zapewne świadomi tej właściwości Donnaya, wydają ją na scenie tę dwulicowość jego utworów, grając go z lekkością, gracyą, pewną frywolną perfidją, elegancyą, galanterją z uśmiechem na ustach, w roztańczonym tempie. Co najmniej, nie wylewają tyle łez napróżno, jak to uczyniono na naszej scenie, a główny bohater i kochanek sztuki z pewnością nie włóczy się po kulisach, jak rozpaczone widmo ze wzrokiem rozpaczliwie bezmyślnie wślupionym w bezdenną pustkę. Donnay jest lekkomyślny, cynik, zblazowany i optymista. Kiedy podejmuje w sztuce rywalizację starzejącej się matki i dorastającej córki, w miłości, to tematu tego na pewno nie bierze poważnie i na seryo. Prześlizguje się przezeń z nieprzyzwoitym gościem zdemoralizowanego bulwarowca z Montmartre. Lubi zrywać zakazane owoce wiarołomnej miłości, uderzy tu i ówdzie w sympatyczny ton liryki i zatuszuje to wszystko parodią i wykrzywionym grymasem rozpustnego kłowna. Te akcenty należało wydobyć w „Niebezpieczeństwie“ na wierzch, gdyż one tam bez kwestyi tkwią, że tylko wspo-

mnę owe dwie sceny z I i III aktu, dwie rozmowy, które po kolei mają z tym bałwanem kochankiem całkiem z symetryczną analogią matka, a potem córka i w których one jednakowo niemal słowo w słowo z małemi jeno zmianami napastują go wyznaniem miłości tak, że przechodzi to już w tendencyjną karykaturę. Do efektów tego samego rodzaju należy i to, że miłosne zapęły kochanka z biegiem sztuki ostudzają się i stanowczo chłodną, zanim on jeszcze zdał sobie sprawę z tego, że przyjdzie mu zakochać się w córce swojej kochanki. Byłby się zresztą zakochał w każdej innej, któraby się mu nawinęła pod rękę i równie obcesowo narzuciła. Był przecie w trakcie pozbywania się matki, co autor, lubujący się w tej psychologii rozstawania się, wyraźnie zaznacza. Przecież scena, w której on na balu robi córce ni stąd ni zowąd awanturę z powodu dekoltażu, jest przy uwzględnieniu całej sytuacji jego wprost komiczną. Nie inaczej, jak komicznie uwydatnionym powinien być akt ostatni, w którym matka czyni swej córce wspaniałomyślny prezent z kochanka, niby bohaterka poświęcenia z miłości macierzyńskiej. — Cały ten pomysł jest przecie niedwuznaczną parodią i parodyjność tę należało uwydatnić. Jest to, co prawda, humor czysto paryski, obcy nam i daleki, ale lepiej go w każdym razie utrzymać, niż lokalizować go w ten sposób, jak to uczyniono z ostatniem przedstawieniem, śrubując ostatni akt na wyżyny patetycznego melodramatu z katastrofą pęknięcia serca i konfliktem obowiązków. Zresztą autor dał wyraźnie do poznania że mamę zaasekurował jeszcze ze strony Ernsteina, który umie się zawsze w stosownej chwili zgłosić po spadek i wyreczy zięcia u matki. Jest to bez kwestyi cynizm i pornografia, ale skoro się je już wysawia, trzeba je wystawiać należyście i starannie, inaczej całość przedstawienia szwankuje i idzie opacznie.

*

*

*

To pominawszy — gdyby nawet sztukę odegrano pojętnie, byłaby padła zasłużenie z powodu wad, rdzennych i istotnych. Przedewszystkiem haniebnie zbudowana. Gdzie te czasy, w których sztuki francuskie były pod tym względem nienaganne. Przecież i „Markiz Priola“ miał rażące usterki. Tylko jeszcze stary Sardou w interwiewach głosi wzorową i przykładową konstrukcję francuskiego teatru, ale nikt mu nie wierzy. Zresztą dbamy o teatr francuski tyle, co pies o piątą nogę i niewiele on nas obchodzi. Złości jeno to, że nas nim zarząd teatru bezpotrzebnie raczy i dlatego się szeroko o tem rozpisujemy.

„Niebezpieczeństwo“ robi wrażenie, jakby był udramatyzowany i wykrojony z przeciętnej paryskiej, sezonowej powieści. Akcja trwa przez przeciąg lat pięciu. Pełno konwersacji o sprawach i przedmiotach do rzeczy nie należących

charakterystyka stereotypowa, prawie żadna; dialog zupełnie nieurozmaicony i nudny. Widocznie Donnay się postarzał i traci z wolna zalety „Les amants“ i „La douloureuse“, które mu wyrobiły imię. Prześcignął go zresztą Capus, pokrewny mu bezduchem, metodą i środkami. Zresztą i te zalety nie były tego rodzaju, aby się nimi poważniej zajmować. Znaczenie jakieś mogą mu przypisywać tylko w Paryżu, gdzie mu poświęcają osobne studia i dla naśladownictwa w lubej Warszawce, w której się na seryo „pogłębił“ w nim nestor naszej krytyki teatralnej, p. Bogusławski.



Moje plotki.

(Kronika dwutygodniowa.)

Kto był na jubileuszu Kozłowskiego w Żółkwi, i widział lub słyszał jakich to cudów mężstwa, zręczności i obżarstwa dokazywali redaktorowie lwowscy, jakie dowody umiejętności tanecznej i śpiewaczej złożył ks. Gromnicki, zdaniem *Słowa Polskiego* „najlepszy mowca ludowy w swoim rodzaju“ (może socyalista? Hoho!), jak pp. Hałaciński i Laskownicki drapali się i wspinali po trybunach, by wznieść jak najwyżej moralny sztandar *Wieku nowego*; jak p. redaktor *Słowa* urznał się i waleśał po Żółkwi nie wiedząc, gdzie co kiedy ma się odbyć, pieniąc się ze złości, że nie oprowadza go jakaś specyalna deputacya (co mu się przecież chyba należy!); jak pewien powstaniec z r. 1864. dokazywał jeszcze teraz cudów waleczności w potyczce z pewnym socyalistą i „jak nic“ ściągnął go z trybuny.; jak naród wzruszająco opychał się i upijał na zdrowie śp. Żółkiewskiego i Sobieskiego; — kto to wszystko i wiele innych jeszcze ciekawych rzeczy widział i słyszał, ten nie pożałuje, że w onym dniu pamiętnym jechał za 65 ct. do Żółkwi ratować ojczyznę.

Na jubileuszu widziano całą naszą prasę w komplecie z wyjątkiem nożyc, które w tym dniu odpoczywały i p. Bartoszewicz, który właśnie w tej chwili czytał ze łzami w oczach po raz dwudziesty siódmy swoją ostatnią kronikę niedzielną w *Słowie polskim*, poczem zabrał się do napisania mowy pogrzebowej, czy nekrologu dla swego nowego pasierba, dla *Kurjerka Krakowskiego*.

I z bezbrzeżnem lekceważeniem popatrzył na leżący na biurku redakcyjnem ostatni numer (15.) *Malpiego Zwierciadła*,

w którym p. Vitriol, wróżbita — w tym wypadku — z pod ciemnej gwiazdy, kilkanaście dni temu przepowiedział *Kuryerowi* bliski koniec, opierając swoją przepowiednię na znanem fatum przesładującym p. K. Bartoszewicza z dziką konsekwencyą.

Dowiadujemy się, że redakcyja *Słowa P.* czyni starania, aby pozyskać p. Kazimierza na redaktora, przez co można będzie kompletny upadek tego pisma przypisać fatum swojego redaktora. A więc i wstyd mniejszy.

Wystosował więc p. Bartoszewicz wspaniały nekrolog dla *Kuryerka* (nekrolog już czternasty z rzędu) a wystosował go do swoich dwóch pozostałych wiernych abonentów, tłumacząc im co to za świetny był dziennik i jak nawet nie powinni żądać zwrotu uiszczzonej prenumeraty.

Pomimo jednak, że *Kuryerek* przestał wychodzić nie się w świecie nie zmieniło a nawet sam p. Bartoszewicz także się nie zmienił i w ostatniej swojej kronice niedzielnej jest tym samym „paploszewiczem“ co dawniej. Nudzi p. Kazimierz, nudzi, sili się na wice, a gdy mu się to nie udaje przechodzi w ton patryotyczny... — to bardzo wygodny konik ten patryotyzm. Można z niego żyć, utrzymywać rodzinę no — i dopiero być dobrym patryotą. Są dziennikarze, którzy nie więcej we łbie nie mają prócz kilku błahych frazesów patryotycznych i z tego żyją, „cieszą się“ powszechnym szacunkiem a jak umrą — no, mniejsza o to, na razie żyją.

Nakoniec wypadło by jeszcze wspomnieć coś o zaciętej walce, jaka się nie dawno wywiązała w naszej prasie *ex re* regimentarza Jaworskiego, na którego miejsce *Słowo P.* powołało hr. Pinińskiego. Przypuszczam jednak, że szan. czytelnik czytał te wszystkie komplementy jakie zamieniały pomiędzy sobą dzienniki, w szczególności pod adresem *Słowa Polskiego*. Nie podniesiono tylko jednej okoliczności, którą nam zakomunikowano z Wiednia. Oto wiedeński korespondent *Słowa* — jak to od pewnego czasu można zauważyć — gniewa się na dr. Körbera za to, iż ten obszedł się z nim u pewnej damy po grubiańsku. Dowiedział się p. korespondent, że dr. Körber bywa u jednej damy no i wkrótce p. korespondent jakimś cudem także wlaźł do tego domu. Oczywiście, że chciał to wykorzystać w celach informacyjnych i począł natrętny reporter molestować premiera prośbami o informacye polityczne. Premier postarał się, że owa dama przestała zachęcać p. korespondenta do dalszych odwiedzin, czyli po prostu wyrzuciła go za drzwi.

Inde ira...

Nieczytelnie podpisany.

Z kajetu sowizdrzała.

Mówcie co chcecie, ale stosunek przyjaciela domu do małżeńskiej pary bywa dość dziwnie pojmowany; mówią, że przyjaciel domu szkodzi przez to, że pomaga.

* * *

Mój sąsiad twierdzi, że odmawiając czegoś kobiecie można się łatwo przekonać, co w niej jest sztucznem. Często bowiem odmowa wywołuje u nich sztuczne łzy, sztuczny śmiech, sztuczne spazmy i sztuczne zgrzytanie sztucznych zębów...

* * *

Tyle, tyle już pisano o grafomanii a przecież coraz więcej jest grafomanów piszących nawet — o grafomanii.

* * *

Pewien znawca literatury z prowincyi wstał pewnego nadzwyczaj pogodnego poranku (nazajutrz po powrocie ze Lwowa do miasteczka) zupełnie „przerobiony“ tak, że go najbliżsi nie poznawali. On, co dotąd poza Sienkiewiczem nie uznawał nikogo z współczesnych, zaczął nagle ni stąd ni z owąd unosić się nad... Wyspiańskim.

— Co się też panu stało? — pytał go irocznie w biurze kolega.

— Nie mówcie nic — odparł radca — jak długo nie widzieliście „Zaczarowanego koła“.. Tutaj Wyspiański stanął na wyżynie Asnyka... Ja wam to mówię.

* * *

W dociekaniu źródła jesteśmy opieszali. Czytając dobry artykuł w jakimś dzienniku staramy się odgadnąć, z którego innego dziennika artykuł ten jest wycięty, a gdy już odgadniemy lub w inny sposób się o tem dowiemy, nie jesteśmy już dalej ciekawi i nie szukamy skąd znowu wyciął ten artykuł ów inny dziennik. A tymczasem uczą nas przykłady, że dobry artykuł objeżdża w wszystkie dzienniki kolejną żelazną nożyc..

* * *

A raz nawet zdarzyło się, że pewien dziennik przyniósł oryginalny artykuł napisany przez jednego z współpracowników. Redaktor „puścił go“ bez przeczytania. Nazajutrz przedrukował ten artykuł inny dziennik a w kilka dni później

trzeci dziennik i tu dopiero przeczytał go redaktor pierwszego dziennika, wyciął go i wydrukował jeszcze raz w swoim dzienniku, bo mu się podobał.

* *

Mimo wszystkie nieczne potwarze istnieją jeszcze telegramy, które drutów nie wachały (mówię o redakcyjnych), podobnie, jak istnieją pióra, które nie wypisały jeszcze kłamstwa (nie mówię o redakcyjnych). Są to te pióra, których jeszcze w żadnym atramencie nie maczano.

* *

Kl.

Kto to?

(Sylwetki dziennikarzy lwowskich).

XIII.

Charakterystyczna głowa satyra osadzona na niskim kadłubie o szerokich barach, ze stylowym łoczkiem nad wyniosłym czołem, ciemnym zaroście i wymownych oczach, pełnych, jakichś tajemniczych, genialnych blasków.

Uśmiech dobroduszny, niemal dziecinny, ustępuje miejsca chwilami subtelnemu skrzywieniu pogardliwej ironii. Spojrzenie sięgające w niebo, a czasem w piekło, przykuwa, ujarzmia i wiedzie za sobą dusze ludzkie w te nadświaty, które przed nim otwierają swe podwoje tajemnicze.

Ten niezaprzeczenie największy współczesny poeta polski, ten gromowładny mocarz słowa od niedawna dopiero poświęcił się karierze dziennikarskiej. Z naczelnego redaktorstwa jednego z pism brukowych po krótkim czasie zrezygnował, ale obecnie zniewolony usilnymi prośbami interesowanych, objął kierownictwo tygodnika literackiego w innym piśmie.

Rodem z Poznańskiego, syn ubogich włościan, własnej pracy zawdzięcza dzisiejsze swoje wybitne stanowisko nie tylko w literaturze, ale i w społeczeństwie. Ogólnie lubiony, szanowany i ceniony dla niezwykłej prawości charakteru i jasnej, hardej duszy, która się przed niczem i nikim nie ugnie, posiada mir we wszystkich warstwach naszej stolicy. Przechodził w życiu ciężkie zawody, lecz cierpienia nie złamały go, przeciwnie, wyrobiły w nim hartowną odporność na losu chłosty, wspaniałomyślną pogardę dla małostkowych przesądów tego świata.

W genialnych utworach pieśniarza daje się odczuwać zgrzyt zbolącej duszy, nie jest to jednak niedoleżna skarga zwątpienia lub jęk rozpacz bezsilnej i beznadziejnej, lecz raczej ryk potężny lwa rozjuszonego, świadomego swej siły żywotnej i miażdżącej.

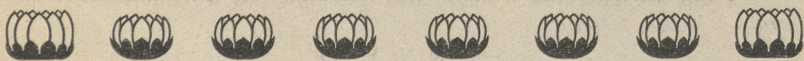
Słowem swoim porywa jak huragan i niesie duszę ludzką ponad przepaście skaliste, ponad pniące bałwany, ponad szczyty niedościgłe, aż trwoga ogarnia i jakaś dzika, nieznana rozkosz, która dech niemal zapiera, a z piersi wyrывa się okrzyk: Wielki jesteś i nieśmiertelny!

To bard przepotężny! pieśń jego, to surma bojowa, która wzywa do czynu, która budzi z uśpienia! Pieśń jego, to objawienie mistyczne tych tęsknot, zgrzytów, szarpań duszy uświadomionej w swej nieśmiertelności; pieśń jego, to zwyciężkie starganie nienawistnych pęt, to hymn tryumfalny wyzwolenia, to wzlot w przestworza nadziejskie i śmiałe spojrzenie w krwawą tarcz słoneczną.

Pieśń jego, to nie blade, romantyczne, ekliwe marzenia przy blasku księżyca, ale szmery i szumy snujące się przed burzą złowrogą wśród borów ponurych. To błyskawice widziadeł prawdziwego natchnienia, to gromy druzgoczące siłą słów wszechwładnych. To wypowiedzenie jakiegos nieuchwytnego, żrącego, wiekuistego bólu, który dusze wybrane za siedlisko obiera, to jęk nieśmiertelny i mistyczny, który drga w przestrzeni. To wspaniała symfonia jakichś archaicznych tonów z dźwiękami lutni swojskiej. To wyśpiwanie skarg ludzkości całej własnym bólem i potężnem słowem.

Pieśń ta wieki przetrwa, a pieśniarz w wspomnieniu rodaków nieśmiertelnym pozostanie.

Ibis.



Komik we fioletach.

(Operetka w 1 akcie z tańcami).

Osoby: *Grom*, gadający, śpiewający i tańczący.

Tłum... milczący.

Arcy... napominający.

Rzecz się dzieje w dobie współczesnej, na rynku żółkiewskim.

Duchy niewidzialne: *YS*, sprawozdawca *Malpiego* z fonografem.

S C E N A I.

Grom (na chwilejącej się mównicy mówi coś trzy po trzy — fonograf tego nie chwytą — wreszcie) Oj-jo-joj, ja tu coś dla was

zawinał, coście jeszcze nigdy nie widzieli i nie zobaczycie... *(po długich poszukiwaniach w kieszeniach wyciąga zatuszczone zawiątko)*. Ot to tu, oj-jo-joj widzicie co jest, *(podnosi w górę zbrukaną jakąś szmatkę)*, to szkaplerz Żółkiewskiego, a to tu, to łańcuszek jego...

Tłum rozdziawia gęby z podziwu.

Grom — *pleciuga plecie dalej, fonograf się aż zacina*: A wiecie wy, mieliśmy tu trzech napastników, jeden siadł na brzuch, i dusi, a drugi siadł na kark i także dusi, a trzeci sięga do kieszeni. A wiecie wy, co to za jedni? Gdzietam wiecie! no, to ja wam powiem, ten jeden to jest Moskal, aha widzicie to Moskal, a ten drugi? aaa, widzicie to Prusak — *o trzecim nie dopowiedział, bo i fonograf nie mówi — w aparacie długa pauza, coś się psuje.. nagle*:

Grom wrzeszczy z pełnych piersi: Najjaśniejszy Pan Franciszek Józef I. niech żyje!

Tłum „z zapalem po trzykroć okrzyk...u nie powtarza.

Grom: Otóż to ja to mówił, niech żyje nasz król i ojciec, bo on jest bardzo dobry, on krewny króla Wiśniowieckiego, trumnę mu odmalował, a jakże...

Znów długa pauza, fonograf dotychczas milczący, wyrzuca z siebie solowe kawałki **Gromu**:

„Serdeczna Matko“... etc.

Tłum pod nosem trochę podbąkuje.

Grom niestrudzenie: „Wieczystaja Diwo Maty“... etc. solo.

Tłum baranieje.

Grom znów zawodzi: „To nasza modlitwa
Polszcza, Ruś i Łytwa“.

Tłum się zawziął i jakoś nie pociąga za dyrygentem i solistą w jednej osobie.

SCENA II.

Arcy w jeszcze większych fioletach wchodzi ze świtą przed tychże ścianę i chce coś również mówić.

Grom nie zważając na to, wyśpiewuje dalej nabożne kolomyjki, ilustrując je tańcem na mównicy w kółko.

Arcy znudzonym gestem ręki daje znak Złotoustemu, by już kończył.

Grom całą siłą pary dobija szczęśliwie po 3 godzinnych produkcjach do końca, nie może sobie jednak darować jeszcze jednej śpiewanki wraz z solem baletowem:

Myr Wam bratia wsim prynosym

Myr to naszych oteiw znak... etc.

Tłum ryczy z radości i ze śmiechu bierze się za brzuchy — fonograf — także coś mu tam w środku pstryka i dalsze chwytanie słów Arcy'ego uniemożliwione.

Tyle słów z fonografu usłyszał a resztę dopisał
Wasz sprawozdawca

YS.

Portrety teatralne.

Władysław Antoniewski.

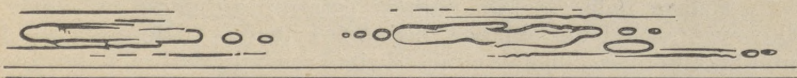
Lokator kancelaryi Nr. 44. i gospodarz śniadankowych zebrań w tejże kancelaryi cieszy się stałym mirem między kolegami i znajomymi, pomimo, że podobno nauczyli go już potrosze kunsztu... lisowania. Ha! taka atmosfera. Poza tem „złoty chłop“ — jak go nazwał Klewe w „*Ilustracji polskiej*“ — „a *in puncto* sceny człowiek wielkich zasług!“ Słusznie!

Aktor prowincjonalny ze świadectwem dojrzałości krakowskiej szkoły realnej (fenomen!) tuła się po Królestwie przez rok cały, poczem przybywa do Krakowa, dokąd sprowadził go Koźmian i powierzył mu dział amantów. Debiutuje jako Piotr w Fedorze z powodzeniem. Mimo to na zaproszenie Józefa Rychtera przenosi swoją walizkę teatralną do Poznania i bierze pierwszorzędných amantów. Stąd zabrał go w r. 1885 dyrektor Glickson do Krakowa, gdzie prócz poprzednich grywa role „charakterystyczne“ i pełni urząd reżysera teatru krakowskiego do r. 1892. W tym roku poświęca się „dla idei“ i obejmuje dyrekcję teatru stanisławowskiego po smutnych doświadczeniach śp. Kwiecińskiego. Przez lat kilka walczy jak lew z nieprzewycięzoną apatyą szan. P. T. publiki, lecz twardy kark epijsjerski kochanej filisteryi, przenoszącej operetkę lub tyngel nad sztukę — nie ugiął się. Jedyny dobry teatr prowincjonalny rozsypał się a dyrektor zaciągnął się w szeregi lwowskich histryonów, gdzie przebywa po dziś dzień.

Pan Antoniewski jest dziś prezesem Tow. bratniej pomocy artystów, założycielem i duszą istniejącej od roku czytelnii artystów teatru miejskiego i jednym z sekretarzy. Nadto jest — oczywiście — aktorem, a szkoda, że repertuar obecny układa się w ten sposób, że wielu pożytecznych artystów musi się stale pomijać lub co najwyżej łątać nimi dziury. Kto widział pana Antoniewskiego w rolach tytułowych w dramatach „Winny“, „Wernyhora“, „Kazimierz Wielki i Esterka“, kto widział jego Wurma w Szylera dramacie „Intryga i miłość“ — ten pewnie żałuje, że tego artystę tak rzadko widzi w większej roli...

Nadto wesoły kumpan i wielki „kobieciarz“ obcałowujący cicho wszystkie głośne piękności sceniczne (oczywiście *kobiece*), o których wiele mówią, że ich dziś tu tak mało, a które Władka lubią... no bo ktoby go nie lubiał... A więc całuje i tylko całuje, bo ukąsić już niestety — nie potrafi... nie ma... zębów...

M. de Priola.



Notatki.

Nekrolog. „*Kurjerek krakowski*“ najukochańszy bastard „*Słowa polskiego*“, wstydlivy członek Wszechpolaków, pasierb K. Bartoszewicza a brat *Wiek* nowego, zaopatrzony na drogę święną błagą swojego redaktora usnął na wieki 28. bm. po krótkiej a ciężkiej słabości, w pierwszej wiosnie życia.

Spokój jego nożycem.

Rektor Ochenkowski w przemówieniu swoim podczas promocyi pierwszej kobiety na doktora filozofii powiedział między innemi: „Kobiety myślą, kobiety już dawno myślały, teraz dopuszczono je nawet do doktoratu, z czego nb. nie wynika, że po otrzymaniu go, mają przestać myśleć.“

Jeszcze dowcipniej — choć boleśnie dowcipnie — zauważył rektor:

„Idąc za przykładem uniwersytetów zagranicznych dopuścił i lwowski uniwersytet kobiety do studyów a *pod tym względem* nie została nasza wszechnica w tyle za innemi wszechnicami“.

Na naszą ankietę w kwestyi żydowskiej nadeszło już kilka bardzo dowcipnych odpowiedzi. Wszystkie razem zamieścimy dopiero w jednym z następnych numerów tj. wtedy, gdy już wszystkie wpłyną. Upraszamy wszystkich wesołych czytelników o wzięcie udziału w tej ankiecie, odpowiedzi zamieścimy o ile będą dowcipne.

W „Dzienniku polskim“ (wyd. por. z 18. bm.) czytamy następującą notatkę policyjną:

„Podporucznikowi trenu p. Sebastianiemu skradziono ubiegłej nocy z mieszkania pog. I. 1 A przy ul. Panieńskiej łóżko sprężynowe z materacami, 16 metrów centkowanej i zielonej materyi na suknię, parasolkę z czarną aplikacją, białozółtą suknię balową, kapelusz ubrany aksamitem i koronkami, złotą broszkę i wiele innych strojów, tak, że biedny podporucznik został dzięki lwowskim złodziejom w tem tylko, co miał na sobie“.

Wobec tego, że prawie wszystkie dzienniki zaopatrzyły tę notatkę w różne dowcipne komentarze, my puszczamy ją bez komentarza.

Małego figla spłatała nam w ostatnim numerze *vis maior*. Oto w „*treści*“ na okładce podano sylwetkę dziennikarza i maniaka i opuszczono artykuł „Święto czernikarzy“ a w tekście

musiano obie sylwetki dla braku miejsca w ostatniej chwili usunąć. Ponieważ jednak okładkę drukuje się o wiele wcześniej, przeto już nie można było tych tytułów wykreślić. Ludzie zawodowi zrozumieją, że nie pochodzi to z naszej winy.

Bieda z maniakami! Zaledwie puściliśmy w świat pierwszego maniaka a już otrzymaliśmy kartkę przesiąkniętą nitrogliceryną i dynamitem z pogrózkami, besztaniem etc. Nie dość na tem. Jakieś nieznane nam bliżej osobniki zasypują nas listami grożąc wcale niedwuznacznie, że „skorobyście się tak (broń Was Boże) odważyli mnie tam wpakować do tych maniaków to“... to a to będzie. Jeden grozi kryminałem, drugi rewolwerem, trzeci piekłem, ale najbardziej zawzięty jest inny który pisze: „nigdy się u was dzieci chować nie będą“. No! Nawarzyliśmy sobie piwa rozpoczynając seryj tych sylwetek. Nie ma żartu z maniakami. Teraz dopiero widzimy jak spokojnym maniakiem jest np. *Słowo polskie*, które dotąd tak cierpliwie milczy na nasze uwagi słuszne bo słuszne, ale bądź co bądź łaskotliwe.

Kult nożycowy w naszych dziennikach przybiera wprost zastraszające rozmiary.

Chcieliśmy na wzór „*Fackel*“ wprowadzić rubrykę p. t. „*Złodziej natogowy*“, w której zamierzaliśmy prowadzić ewidencję kradzionych artykułów zamieszczonych w naszych dziennikach bez podania źródła. Okazało się jednak, że do tego celu należałoby wydawać specjalny dziennik, któryby wychodził przynajmniej trzy razy dziennie a samą kontrolą kradzieży dziennikarsko-literackich musiałoby się zająć około trzydziestu zdolnych ludzi. Ponieważ atoli w galicyjskich stosunkach itd. więc musieliśmy zaniechać tego zamiaru na pociechę całego dziennikarstwa.

Młodzież „wszechpolska“ w obec akcyi antypojedynkowej zajęła ciekawe stanowisko: nie przyszła na wiec zwołany w tej sprawie przez postępowców, a nawet reprezentant jej zdał ogłoszenie tego wiecu, wywieszone w Czytelnii akad. — A teraz *pendant* do tego: na festynie czytelnii „Święto wiosny“ odbędzie się turniej szermierzy — zapewne także wszechpolskich, widocznie w myśl owego prześlicznego hasła „do wojska“...

„Konserwator piwa“ — oto najnowsza okazja dla panów redaktorów *minorum gentium*, których jacyś przedsiębiorcy szynkarze zaprosili na próbę tego przyrządu i pewnie dobrze ugościli, kiedy ci tak szeroko o tem się rozpisują w swoich szmatkach. Swoją drogą szynkarze doskonale się w celach reklamy urządzili. Najpierw sprosili „reprezentantów prasy“ na świadków zaaplikowania beczkom piwa swego konserwatora, a że jakoś trudno było ich tak na sucho' puścić, dali im

nie mało popijać piwską, tym razem jeszcze nie zakonserwowanego. Co jednak warto samo piwo bez przekąski — dano więc coś „przegryźć“ — a w jakich to jedno i drugie porcjach dostało się do żołądków panów reporterów, świadczą w rozmiarach swoich reklamy przez nich podane do kroniki swoich pism. Nie koniec na tem: czemu by nie mieli przedsiębiorcy reklamować dobrze w części redakcyjnej, a stosunkowo tanio?! Zaprosili więc znów reporterów w kilka dni na odbicie beczek już w konserwator zaopatrzonych, a jakie tam to były te próbowania i expertyzy świadczą najlepiej sążniste sprawozdania z tego, w pismach popijających dużo a chętnie reporterów. Publiczność sama psuje tych ludzi łakomych na wyżerki, którzy rozpaskudzeni dobrami przyjęciami, żądają nieraz za wiele. Wytworzył się nawet pewien stały kontyngent tych pieczeniary dziennikarskich, którzy w tym samym komplecie bez względu na antagonizmy swoich dzienników tworzą zawsze nieschodzone bractwo pijackie. — Czas by wytępić te obrzydliwości!

Pornografia w praktyce a w teorii czyli konsekwencya „Przeglądu“. W „Przeglądzie“ z 27. bm. czytamy w sprawozdaniu z teatru: „Mieliśmy znowu pornografię. Jestto rys znamieny, stały terazniejszego kierownictwa teatru, że cokolwiek nowego wystawia to prawie zawsze rzecz jakąś pornograficzną. Po prostu wstręt i okrzydzenie budzi się w człowieku zmuszonym z obowiązku krytyka chodzić na te przedstawienia, na których nic innego się nie widzi i nie słyszy, jak tylko taką lub owaką scenę rozpusty, jak tylko taki lub owaki grzech przeciw szóstemu przykazaniu“...

To wszystko bardzo piękne — myśli czytelnik — podzielimy oburzenie świątobliwego *Przeglądu* a na tej samej stronie, w tej samej szpalcie nieco wyżej w opisie życia paryskiego czyta:

„Miłość w czasie sezonu? Nie! to wprost niemożliwe. Przedewszystkiem brak czasu .. a potem — *za jasno, cały dzień tak jasno... a dnie takie długie...* Co innego w zimie. Wtedy świat taki tajemniczy, milczący, *dyskretny*, jak puchem przykryty śniegiem, obleczony nocnym mrokiem.

Z obchodu Żółkiewskiego. Na obchód żółkiewski wyjechała redakcja „*Wieku nowego*“ po to, by wszechstronnie przedstawić swoim czytelnikom przebieg zdarzeń. Z niemałym zainteresowaniem wyczytywaliśmy owe sprawozdanie z obchodu, a przy skrupulatności naszej jednego nie dostrzegliśmy. Oto brak tam następującego epizodu: Gdy zebrani tłumnie przeciwnicy kandydatury p. Kozłowskiego wznosili okrzyki na cześć Bojki, nagle z tłumu wysunęła się do góry jakaś rozczochrana broda i schwywszy się pazurami za trybunę, poczęła się na

nie wdrapywać. Już jakiś karmazyn chciał to podejrzanę indywiduum strącić i oburknął w swojej szlacheckiej uprzejmości: „czego tu chcesz?“ — gdy wtem nadbiegł *socius* i współnik *Wiek*, przedziwnie mądry z drukarza „redaktor“ Hałaciński i uratował tonącego; umożliwiając mu wdrapywanie się dalsze. Łabędziem tym, co wypłynął z morza głów do stańczykowskiej przystani był — sam naczelny redaktor Laskownicki.

(Gdybyśmy byli illustrowanym dziennikiem podalibyśmy uwagę: patrz rycina na pierwszej stronie).

Szkoda, że chwili tej nie uwiecznił „*Wiek nowy*“ ilustracją — a wartoby. Pewną charakterystykę tego pisma dałoby także inne zdjęcie fotograficzne z chwili, kiedy wśród niemilknących okrzyków „precz z Kozłowskim“ — panowie Laskownicki i Szenderowicz Leopold nie mogąc się doczekać nadciągających Kozłowskiemu z sukursem chłopów, których libacja komitetu zbyt zrobiła ociężałymi, kiedy ci panowie rękami, głowami i kapeluszami dawali zachęcające znaki pijanej hałastrze, by co żywiej nadchodziła. A należy niezapominać, że owi siermiężni adwersarze pana Kozłowskiego później zmienił się w najprostszych zbójów i tratowali po ludziach bez pardonu — gdzież wtenczas był „*Wiek nowy*“ ze swoim sztabem redakcyjnym, reporterami i rysownikami?!...

Początek noweli zamieszczonej w Nr. 245. *Słowa Polskiego* z 28. maja b. r.:

Księżniczka i smok.

Księżniczka poszła do lasu, gdzie znalazła ślicznego, małego węża.

— Jak się ten gad nazywa? — zapytała starej czarownicy.

— Nazywa się męką miłości — odparła tamta.

Wzięła go więc z sobą księżniczka i ogrzała na swej piersi. A gad rósł i rósł aż w końcu zappełnił całą panięńską klęteczkę, jako smok złośliwy. W miarę tego zaś jak rósł, stawały się lica księżniczki coraz bledsze, a jej piękne oczy coraz głębsze. Rzadko się uśmiechała, a dawna jej piastunka słyszała ją we śnie płaczącą.

Dyalog. *Reporter A.* U nas taki nawet pracy że naczelny redaktor uznał za stosowne utworzyć przy redakcyi posadę stałego szlifierza do ostrzenia nożyczek.

Reporter B. E! — u nas by jeden szlifierz nie wystarczył — my sprowadzamy w tym samym celu parową maszynę o sile 10-ciu koni.

Reporter A. (z mechaniką i różnemi „HP“-mi słabo obeznany): A to pewnie tuż przy lokalu redakcyjnym będzie umieszczona stajnia na konie.

Owacya. W ostatniej chwili dowiadujemy się, że ubiegłej nocy *wybiło wszystkie szyby* w redakcyi *Słowa polskiego*. Tym razem nie były to grzmoty na niebie, które urządziły *Słownię* owacyę.

Czerwcowy zeszyt „*Krytyki*“ odznacza się nader bogatą treścią. Między innemi znajdujemy poemat Wyspiańskiego „Piast“.



Maniaki.

II.

Pani Celina.

Bardzo popularna figura.

Pani Celina jest ogromnie pocziwą panią. Istotnie sympatyczny a uczciwy charakter, słowem same moralne plusy aż do pewnego punktu usprawiedliwiającego powyższy tytuł.

Pani Celina może mieć lat... bardzo dużo. Może 70, może 80, może 100, a może i więcej. Ja sam znam ją od lat trzydziestu, a zawsze wygląda tak samo. Kobieta grubo wykształcona — w dawniejszem tego słowa znaczeniu — zna prócz rodzinnego kilka innych języków, najlepiej podobno francuski. Posiada skromy majątek, z którego żyje a w wolnych godzinach, których ma dziennie 24 — zajmuje się...

I oto jej mania: zbieranie autografów! Królestwo za autograf! Nie pojawi się we Lwowie jedna znakomitość, jeden słynny pisarz, muzyk, aktor, rzeźbiarz, którego by pani Celina nie chwyciła na tem lub owem miejscu, w pomieszkaniu, restauracyi, kawiarni, kurytarzu, ba, w — mniejsza o to — no — i wydostanie od niego autograf za każdą cenę. *Muss heraus!* — powiada sobie p. Celina i — zwycięża. Znana jest jej afera ostatnia z ks. Perosim, twórcą „Mojżesza“. Słynny muzyk nie wiedział podobno, o co chodzi pocziwej pani Celinie i unikał, uciekał przed nią, krył się, chował, nie wychodził — był zrozpaczony. Ale p. Celina jest cierpliwa jak anioł — czatowała trzy pełne dni i nareszcie — dostała go! W kurytarzu go złapała, ale złapała...

„Nie uparciuch nie wpisał, tylko podpisał nazwisko swoje“ — opowiada teraz pani Celina z pewną satysfakcją, że postawiła na swoim. No... kobieta!

Posiada wcale piękną kolekcję tych autografów. Jest tam Sienkiewicz, z którym — jak ona twierdzi — ciągle koresponduje (należy to tak rozumieć, że ona pisze, a on nie odpisuje), jest Kraśzewski, jest dr. Balzer (*ex re* Morskiego oka), jest Leoncavallo — zresztą to się wyliczyć nie da. Która gwiazda mniej lub więcej jasna w ostatnich kilkudziesięciu latach spadała do Lwowa musiała „wpisać się“ do sztambuchu p. Celiny. O ile kto nie chce przyjechać do Lwowa, otrzymuje od p. Celiny listowną prośbę o autograf.

Oczywiście, że nikt prawie jej tego nie odmawia, bo ostatecznie nie jest to przecie... weksel.

Upatrzoną ofiarę ściga p. Celina konsekwentnie aż do skutku. W ogóle nie jest w stanie pojąć, jakby kto „ważniejszy“ mógł do Lwowa przybyć bodaj na kwandrans, a jej się nie wpisał...

Swoją drogą, że zbiór autografów pani Celiny to — rzecz można — złota księga prześlicznych aforyzmów. Są tam głębokie sentencje, wiersze, epigramy, są i głupstwa, choć rzadkie.

Oprócz autografów, posiada wspaniałą kolekcję fotografii i mnóstwo innych cennych pamiątek, a także pierwszy numer każdego wydawnictwa polskiego. Jeżeli jej się któreś pismo „bardzo podoba“, to kupuje i dalsze numery, ale o ile możliwości po niższej cenie, „bo ja“ — powiada — „żyję skromnie, ale uczciwie“...

Do niedawna zbierała bez celu, ot tak tylko, „dla zamordowania czasu“ — przed rokiem, za poradą jakiegoś pana, powzięła wcale szlachetne postanowienie. Oto wszystkie jej cenne zbiory przejdą kiedyś na własność Muzeum narodowego w Raperswylu.

Nadto zbiera różnorodne afisze, których ma siedm kroćtysięcy kilkaset kilkadziesiąt i kilka, wydaje kartki widokowe z portretami słynnych ludzi i zaopatruje je we własne wierszyki, pisze śpiewane i tańczone dramaty mocno patryotyczne, na których dotąd nikt poznać się nie umiał i ma z tego powodu pewien żal do świata i ludzi, co jej Panie Boże odpuść.

(Kw.)

Odpowiedzi wydawcy.

Czarny kozak. Odpowiedź na pańską kartkę znajdzie pan w dzisiejszym numerze na innem miejscu, ale do pana zwracamy się z inną prośbą: Przyszliz nam pan bliższe daty pańskich czynów i żywota, a wydrukujemy sylwetkę nowego „maniaka“...

WP. Józef R. I owszem, prosimy, ale sine ira et studio, bo ostatnia jakoś nie bardzo.

Ibis. Przygotowaliśmy odpowiedź z załącznikami, ale nikt po nią nie przyszedł, a adres zaginął. Dokąd wysłać?

Karaczan. Panie, tylko jeszcze ten raz czytaliśmy pański utwór i odpowiadamy po raz ostatni: *apage sanatas*.

Sereset. Pański utwór jest istotnie grubo *polemicznym*, bo polemizuje nawet z ortografią i logiką. Stanowczo za dużo!

W. Pani Ka... Nie wydrukujemy, ale też i nie pokażemy nikomu pani wiersza. Zgoda?

W. Pani A. N. Bój się Pani Boga — skądżesz my możemy tak długie powieści drukować.

W. P. D. K. Rzecz spóźniona, może pójdzie w wyjątkach. Dla aktualności koniecznem jest, ażeby artykuł był już w redakcyi

nie później, ale też nie wcześniej, jak na trzy dni przed wydaniem numeru. Na razie dzięki za przysyłkę.

W. P. Asa... Dzięki — idzie.

W. P. Rarogie... Bardzo słusznie. I my jesteśmy tego samego zdania.

Bereczere. Hm....

WP. V. R. Nie, nie, nie!

WP. Sa.... Dzięki.

Ibis. List wkrótce. A dalej....

WP. Sob. Dobrze, dobrze.

WPani X. Y. Może tak a może nie, my przypuszczamy, że nie.

Artystka. Mocno nieartystyczne, ale może inne uwagi będą lepsze.

WPani Jan... Nie.

WP. Janina K. Nie, Pani, ten wierszyk nastrojowy bardzo niezgrabnie wydłubany.

WP. X. w P. Korespondencya wcale dowcipna. Wkrótce pójdzie w przeróbce.

Kwartalniki

„Małpiego Zwierciadła“

(w 13 zeszytach)

zawierające satyryczne artykuły polityczne i społeczne, kilkanaście sprawozdań z teatru i filharmonii, cięte sylwetki kilkunastu dziennikarzy lwowskich i krakowskich, a nadto obfite dział facecyj humorystycznych, artykułów polemicznych, sylwetek teatralnych, dowcipnych wzorów reporterskich, telegramów, wierszy etc.

do nabycia w administracji

Małpiego Zwierciadła

po cenie 1 kor. za kwartalnik.

Na przysyłkę należy dołączyć markę 20 hal.

Mały zapas.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca **Emeryk Kiss.**

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów Kopérnika 5.



Przez wys. c. k. Nam. kone.

Szkoła gry na skrzypcach

egz. prof.

M. MARKUSA

we Lwowie, Rynek 25.

przyjmuje uczniów i uczennice
codziennie od 10—12 przed
poł. i od 4—6 po południu.

Dla pań osobny kurs.

Nauki prywatnej udziela się
podług umowy.

Ceny przystępne.

Maszyny do szycia i haftu.



„Central
Bobbin“

z pięcioletnią gwarancją.

NA RATY LUB ZA GOTÓWKĘ.

Cenniki na żądanie gratis i franko.

Naprawa maszyn do szycia.

Polecam wielki wybór scyzoryków,
brzytw, nożyczek itp. wł. wyrobu.

Jan Sauruk

nożownik
i mechanik

Lwów, Halicka 6.

LWOWSKA FILJA

Banku Galicyjskiego dla handlu i przemysłu

ulica Jagiellońska l. 3.

(dawny lokal Banku kredytowego).

Kantor wymiany

(parter od frontu)

kupuje i sprzedaje wszelkie wszelkie pa-
piery wartościowe i waluty zagraniczne
po możliwie najskrupulatniejszych kur-
sach, skutecznie pod takimi samymi
warunkami wszelkie zlecenia giełdowe
zarówno na giełdzie wiedeńskiej jak i na
giełdach zagranicznych, wydaje na
wszystkie znaczniejsze miejscowości świa-
ta i zagraniczne miejsca kąpielowe bez-
pośrednie przekazy i listy kredytowe
wreszcie wypłaca wszelkie kupony mo-
żliwie bez potrącenia jakiegokolwiek pro-
wizji inkasowej.

Godziny urzędowe:

od 9-ej do 12^{1/2} — i od 3. do 4^{1/2}.

Pożyczki

dla pp. Urzę-
dników pań-
stwowych,
Oficerów i P. T. Szlachty udziela
„Nowe towarzystwo akcyjne“. Zgło-
szenia z marką 10 hal. na odpowiedź
pod „Neue Actiengesellschaft“ Lwów,
poste rest. za okaz. kwitu inseratow.

Łosy na spłaty

poleca na dogodnych warunkach, kalen-
daryk bankowy wysyła bezpłatnie

Dom bankowy Schütz i Chajes
Lwów, róg ul. Kopernika.



Pasaż Mikołasza.

ŚWIAT CUDÓW.

OTWARCIE 2. MAJA 2. OTWARCIE

Teatr otwarty codziennie od godziny
11. rano do godziny 10. wieczorem.

Prócz tego codziennie przedstawienie o godz.
8. wieczorem.

Prittell i Fay, mnemotechnicy.

Marietta, dziewczę „Albinos“.

Miss Karry, tatuowana kobieta.

Błądny ogród.

Renau, słynny suggestyoniasta.

Ceny miejsc w dzień:

Miejsce stojące 20 hal.

„ siedzące 40 hal.

Na przedstawienia wieczorne w wielkiej sali:

Krzeseło pierwszorzędne 2 kor.

„ drugorzędne 1-50 hal.

